

Na granicy

Autor: Ziemniakford

Korekta i prereading: Karr'oth



Czyta te pożegnalne słowa,

Czuje, jak drży pióro, którym pisane listy wygnane tu.

Na liście jest napisane;

Mój ukochany,

Wróć rankiem, pókim słowna! Chcę cię pocałować, w grzywę się twą wtulić, sercu ukłon złożę. Niby dopiero się żegnamy, lecz jakby wieki już mijały! Jakbyś był marynarzem, za horyzonty znane! Mój ukochany, wróć! Cierpienie moje skróć! Pocałować cię jeszcze raz pragnę! Choćby w skroń! Choćby w kopytko! Wracaj zdrow, nie bój się o mnie! Poradzę sobie.

Czyta – czyta ze łzami... wie – że już sami! Wie, że zgubiony i osamotniony. Stoi na posterunku granicznym, hen, na granicy, daleko od stolicy!

Czyta – czyta ze łzami, może nie wróci, a co, jak powróci? Nikt mu nie da gwarancji, że wróci zdrowy.

Patrol codzienny odbywa, duszę swą myje, kochaną wspomina. Idzie! Już nieprzytomny! Jakby pomny, że zaraz wytoczy batalie dział!

Szedł, na około wiatr wiał jak dziki! Słyszał jego ryk, świst i gwizd.

Idzie, może coś znajdzie! Szczęście odnajdzie, do domu wróci lub na krwawy stos. Wiedział, że wojna wypowiedziana, ale jakby nie wiedział, czyż były sobą? Idzie! A z oczu płyną łzy!

Zostawić musiał swą ukochaną. Klacz rumianą, uśmiech leciutki jakby był z piór, a grzywa... miękka, jakby z chmur! Już tylko sny – one mu zostały – tam się z nią tuli, tam ją całuje, tym się pociesza.

Patroluje! Czuje jej wzrok na grzbiecie! Nie ma tam jej przecie, więc jak ją czuje? Czyżby wariuje?

Nie, nie, nie!

To tylko wiatr ciepły, jakby letni zefirek.

A on, idzie jakby zgubiony! Jeden z wielu skazańców! Szarych żołnierzy, o których się troszcza, gdy ich obroni!

I wtula czule się w jej grzywę, gładzi kopytem, czuje jej oddech, kocha jej puls... Tęskni niewyobrażalnie! Choć wie, że życie bywa piękne...

Gwiazdy jak cukierki...

Jutro? Dzień.

I słowa jakie powiedziała;

Będę... wszędzie będę! Nawet gdy cię już...

Wie, że nie skłamała. Pamięta jej wzrok, czuje jej łzy, sierść, oddech delikatny niczym pierze, puszczone w nieład zagubienia wiecznego, przez które patrzy wszechświat swymi pustymi oczodołami, bez empatii i bez współczucia.

I niczym puch rzucony w te oczodoły! Jakby mógł zmienić zamiary świata i losu wobec niego samego... i rzucony, jak tysiące innych, w tłumie samotny, z serduszkciem... małym, a pustym.

Czuje, jak bije i drży...

A z oczu płyną łzy...

Tysiące łez, czystych i krystalicznych.

Tyle lat cierpliwie, tyle lat daremnie.

I nuci melodię starą...

*Zbyt wielka pamięć,
Zbyt małe serce,
Ogarnia mnie zamieć,
Kark tutaj skręć.*

Łatwo – zbyt łatwo! – dali się prowadzić do bitwy o nie swoją sprawę. Serce mu krwawi, łzawi... ale bije.

On idzie dalej, wzdłuż granicy.

Nagle słysząc strzały, zamroczył mu się świat cały. Oddział jego, bez niego, szybko się szykuje na potyczkę.

Długo nie trwa – oddział Equestrii był o wiele liczniejszy. Szybko wygrywa. Zabiera rannych, wśród nich nasz bohater.

Leży. Jakby kłoda rzucona na ocean.

I świat dla niego mrokiem, życie - bólem, śmierć - dalekim urojeniem. Bez tylnej lewej nogi leży, już nie wie, w co wierzy.

I na dalekich krańcach zacznie się pożar. Runie wszystko, co znane, co bliskie lub obce. Chciał krzyczeć z bólu... nie miał sił...

Jednak na razie leży, płaci taką cenę za swój honor.

Wie o tym, że jakby martwy, jakby żywy, lecz nadal boleśnie fałszywy.

Wspomina już myślami całymi dawne dni, piękne i kolorowe. Już nie nowe.

I lka, że już nie zobaczy... Czy to coś znaczy?

Szybko teleportują go do szpitala, gdzie prędko go leczą.

I wraca po tygodniu do domu, niezdolny do walki. Bez nogi... kulawy, niesprawny – odtrącony. Wraca powoli, nie mogąc się spieszyć. Nie może się życiem nacieszyć.

Cieszy się barwami, kolorami. Cieszy się kwiatami. Cieszy się wszystkim, co zobaczy – bo już wie, ile to znaczy.

Wraca – żona na początku go nie poznaje. Jednak gdy tylko mówi pierwsze słowo...

Żono...

Już wie, że to on. Tuli go czule. Tak, jak sobie to wyobrażał. Czulej... ze łzami...Czuje jej grzywę, delikatną niczym puch, czuje jej zapach – róży najwspanialszej, czuje jej łzy – ciepłe, niekrwawe, czuje jej oddech... cichy, nieśmiały. Czuje jej wzrok, ciężki, ale pocieszający, czuje ją – taką, jak zapamiętał. Ciepłą, nieśmiałą, delikatną, piękną. I płacze...

Nie mogąc się nacieszyć.

Chwila ta trwała niecałą minutę, lecz on – szczęśliwy w swym smutku, jak nigdy dotąd.

I tylko z ust żony padło jedno pytanie:

– Kochanie... – mówiła delikatnie, jakby nie chcąc sprawiać mu dodatkowego bólu. – Gdzie jest twa noga? – Pyta nieśmiałym głosem, niby szeptem wśród krzyków.

– Na granicy... – odpowiedział. – Ale zostawiłem tam więcej, niż tylko i wyłącznie moją nogę...– dokończył głosem, jakby mrocznym, jakby zdecydowanym. Ale tak nie było. Bo ten głos został...

...na granicy.